

Serce

O wspólnocie w Brabancji Północnej w Holandii opowiadają:

Toon (79 lat), rezydent, inicjator

Bart van den Hork (59 lat), architekt

MOTYWACJA

Toon: Kiedy nie mam ochoty na towarzystwo, wywieszam czerwoną kartkę na drzwiach. I nikt mi nie zawraca wtedy głowy. U nas nie ma sztywnych zasad, ideologii, przymusu. Chcieliśmy być razem, ale osobno. Żeby nie zakłócać swojej przestrzeni, ale jednocześnie przestrzeń współdzielić.

Urodziłem się w tej okolicy. Studiowałem medycynę, potem cztery lata spędziłem w Ugandzie. Po powrocie pracowałem jako lekarz od 1975 do 1996 roku. Kiedy zmarła moja druga żona, nie chciałem się ponownie żenić, nie chciałem też mieszkać sam. Postanowiłem stworzyć dla siebie coś w rodzaju klasztoru – intencjonalnej wspólnoty, ale bez elementów religijnych, bez gloryfikacji ubóstwa czy wymogu trzymania się restrykcyjnych zasad. Inspirował mnie Begijnenhof w Amsterdamie — XIV-wieczne wspólnoty mieszkalne dla kobiet, które żyły jak mniszki, mimo że nie ślubowały monastycznego życia. [Begijnenhof do dziś zamieszkują kobiety żyjące z wyboru bez partnera czy partnerki]. Begijnenhof dalej realizuje ideał wspólnotowego życia w wielkim mieście, gdzie każdy ma swój własny dom, swoją prywatność, przy jednoczesnych silnych więziach sąsiedzkich. W Voormekaar tak samo – jesteśmy wolni, ale żadną miarą samotni. Voormekaar to gra słów, można ją czytać jako „zrobiliśmy to wspólnie” oraz „za każdego członka grupy”. Oba odczytania są prawdziwe. Na początku naszej drogi wyjaśniałem swoje zaangażowanie racjonalnie: chcę mieszkać z innymi seniorami, bo mamy ze sobą wiele wspólnego. Tak naprawdę to było uczucie, wiara, że tylko wśród ludzi mogą być szczęśliwi. Ten impuls szedł z trzewi.

Bart van den Hork: To jest instynkt, coś pierwotnego i elementarnego. Ludzie potrzebują innych ludzi. Do tej potrzeby nawiązuję w architekturze. Pracuję w zespole. Projektujemy budynki senioralne, domy przystosowane, szkoły, bloki. Odbiorcą architektury zawsze jest jakaś grupa ludzi, nawet jeśli klient pozornie jest jeden. Voormekaar był moim pierwszym co-housingiem i najbardziej niezwykłym spośród wszystkich, które mi przyszło później projektować. Mówię to z pełną odpowiedzialnością, a przecież minęło już niemal dwadzieścia lat. Klienci często w mieszkaniu

wspólnym widzą jedynie zysk finansowy, szansę na ograniczenie kosztów. Tu współprojektowałem z mieszkańcami nie tyle budynek, ile styl życia.

Toon: A jednak nie da się ukryć — razem jest łatwiej: masz więcej kasy, a co za tym idzie lepszą jakość materiałów. Dodatkowo każdy wnosi swoją wiedzę do projektu. Jeśli np. chcesz mieć fantastyczny, urozmaicony ogród, to różni ludzie razem stworzą go lepiej. Żyjąc we wspólnocie, doświadczasz stanu, w którym nigdy nie ma tylko „ja”, zawsze jesteśmy „my”. To bywa bolesne, ale również czyni wspólnotę interesującą. Każdy z nas poświęca się swoim pasjom, zainteresowaniom, hobby. Każdy ma inną pracę, wykształcenie, doświadczenie życiowe. Każdy ma swoją rodzinę. Nie jesteśmy zamkniętą społecznością. Współdzielimy piękny apartament gościnny z łazienką. 180 nocy w roku jest zajęty. Ciągle ktoś nas odwiedza. Pomyśleć tylko, że kiedy zaczęliśmy budowę, rodziny czuły niepokój. „Wnuki tracą możliwość bycia z dziadkiem” – narzekali, uznając, że przebywanie z grupą seniorów będzie odstraszać dzieci. Teraz jest inna gadka. Niedawno odwiedziły mnie wnuczeta. Nie miałem humoru. Powiedziały: „Jesteś taki nabzdyczony, nie ma z tobą zabawy, dobrze, że tu mam jeszcze 6 zapasowych dziadków”.

Z jednej strony niezależni, z drugiej jesteśmy też jednym ciałem. Z tego względu jakościowa przestrzeń wspólna była dla nas istotna. To nasze serce.

ARCHITEKTURA

Bart: Serce jest tu najważniejsze, więc cała wspólnota zorganizowana jest wokół niego. Dom wspólny jest transparentny. Widać z niego wszystko dookoła. Wewnątrz doświadczasz też zewnątrz – światła słonecznego, zieleni. Potrzebę kontaktu z naturą mamy zapisaną w genach, nieważne czy jesteś dzieciakiem, czy seniorem. Jak widzisz chmury płynące po niebie, jesteś zdrowszy. Niektórzy kontakt z naturą nazywają „uzdrawiającym”. Sądzę, że coś w tym jest.

Mieszkania, choć podobne, różnią się od siebie detalami. Każde ma swoją unikalną atmosferę. Duszę. Kiedy idziesz wzdłuż budynku, nic nie jest takie samo. Ruch to komponent architektury. Wychodzisz z mieszkania do ogrodu, co wówczas widzisz? To *route architecturale* w mikroskali, szalenie istotny dla codziennego życia. Nawet 25-metrowy spacer może być ciekawy. W Voormekaar drzwi wyjściowe twojego domu wychodzą na galerię otwartą na ogród, który zmienia się wraz z porami roku. Każdy dom ma też swoją przestrzeń zewnętrzną: balkon w mieszkaniach na piętrze i taras w tych na parterze. Idąc do ogrodu, przechodzisz również koło mieszkań sąsiadów, ich

mikrokosmosów. Już na etapie szkiców każdy był zmotywowany do współpracy. Projekt architektury szedł równolegle z projektem przyszłego życia, więc proces partycypacyjny wynikał bardzo naturalnie.

Toon: Architektura była i jest dla nas ważna. Piękno ma swoją cenę, ale dodaje jakości życiu. Zaryzykowaliśmy pieniądze dla tego ideału – jakbyśmy chcieli mieć subsydiowane rządowo budynki, musielibyśmy uginać się pod wieloma zasadami. Chcieliśmy być wolni, więc wybraliśmy model własnościowy. I tak dziś mogę oglądać gwiazdy z okien swojego domu. Czy to nie cudowne? Architekt nas zrozumiał. Dał nam dużo powietrza, przestrzeni, dziennego światła, które jest najsilniejszym antydepresantem. Kochamy ten budynek i dbamy o jego utrzymanie. Jakiś czas temu umieściliśmy białe płócienne żagle – ekrany akustyczne – pod sufitem domu wspólnego. Czas pogłosu wcześniej wynosił 4,2 sekundy, a teraz 2,2. Lepiej się słyszymy, a jeśli zorganizujemy koncert, brzmi prawie jak w profesjonalnej sali.

WYZWANIA

Toon: W pokoju wspólnym jest ściana galeryjna, na której regularnie organizujemy wystawy. Mamy z artystami rodzaj umowy licencyjnej – oni wypożyczają nam na miesiąc swoje prace, a my robimy wystawę. Każdy z członków wspólnoty ma okazję zostać kuratorem, pokazać, co mu się podoba. Szkopuł w tym, że mój gust jest totalnie różny od upodobań niektórych sąsiadów. Uważam się za konesera, sztuka to moje hobby, jednak w oczach sąsiadów moje wybory są ekscentryczne. Zdarzyło się, że kiedy próbowałem postawić w przestrzeni wspólnej swoją rzeźbę, krzywili się. To jest ciężar, ale i wartość dodana, bo twoje doświadczenia życiowe krzyżują się z zupełnie innymi.

Trzeba pamiętać, że dom ma nie tylko wartość rynkową, ale również emocjonalną. Składają się na nią usposobienia mieszkańców. Jedni kryją emocje, inni wręcz nimi ociekają. Wielkim wyzwaniem jest wyrobienie w sobie wrażliwości na wszystkie te postawy. Szukamy równowagi.

WSPÓLNOTA

Toon: Pracowałem jako oficer medyczny w Nkozi w Ugandzie w latach 1970–1974. Miałem kontrakt na trzy lata, ale nikt nie chciał mnie zastąpić, więc zostałem dłużej. To były czasy dyktatury Idiogo Amina. Wiem, jak pachnie góra martwych ciał. Właśnie wtedy i tam doświadczyłem, czym jest bycie razem. Kiedy Amin zaczął mordować obcokrajowców, moi ugandyjscy współpracownicy przeprowadzili moją żonę, dziecko i mnie kajakiem przez Jezioro Wiktorii do Tanzanii. Ryzykowali życiem dla nas, swoich ludzi. Potem odwiedziłem Kongo, Kenię, Rwandę. We wszystkich tych

miejscach więzi wspólnotowe są silne. W Rwandzie, po tak strasznej tragedii, jaka się tam wydarzyła, sąsiedzi musieli się nauczyć, jak razem żyć. Czym wobec ich problemów jest ustalenie w grupie koloru ścian? Dziś wiem już na pewno, że jeśli obie strony chcą, zawsze mogą osiągnąć porozumienie.

KONFLIKTY

Toon: Konflikty rozwiązujemy po afrykańsku. Czyli: siadamy pod drzewem i wypracujemy konsensus. Polega to na osiągnięciu takiego stanu umysłu, że wiesz, że nie wszystko musi być w 100% takie, jak chcesz. To może być 60%. Afrykańskość tego rozwiązania polega na tempie – wszystko dzieje się powoli i bez napinki. To metoda szczególnie służąca ludziom starszym. Nasze procesy poznawcze są wolniejsze, nie potrafimy się spieszyć. Dyskutowaliśmy ponad dwa lata, czy założyć panele słoneczne. I wyszło nam to na dobre, bo w tym czasie panele staniały, a dodatkowo rząd wsparł nasz projekt kwotą 40 tysięcy euro.

ZDROWIE

Bart: Wszystko jest dostosowane do życia na wózku. Galeria przed drzwiami jest na tyle szeroka, że dwa pojazdy mogą się bez problemu minąć. Podobnie łazienki, drzwi.

Toon: Każdy członek wspólnoty ma rodzinnego lekarza w miasteczku Boxmeer. Lekarze, którzy mieszkają we wspólnocie, już nie praktykują. Jesteśmy na emeryturach, nie mamy prawa zrobić nawet zastrzyku sąsiadowi. Ale jesteśmy dla siebie.

Codziennie przez pół roku serwowałem śniadania sąsiadowi z alzheimerem. Inna osoba szykowała gorący obiad, jeszcze inna – kolację. Miał wysprzątane, odwiedzaliśmy go. Ale z czasem opieka nas przerosła.

Nie jest tak, że preferujemy zdrowie i wigor. Pięć lat temu miałem wylew. Nie mogłem znaleźć słów, sparaliżowało mnie, byłem otępiały. Po pięciu dniach wstałem ze szpitalnego łóżka i wbrew zaleceniom lekarzy wróciłem do wspólnoty. Wszedłem do ogrodu. Na stole piknikowym zobaczyłem wielkie ciasto pokryte lśniącymi, czerwonymi truskawkami. Dostrzegłem je chyba ze 100 metrów. Nie przywitałem się z nikim, tylko podbiegłem do ciasta i je pożarłem. Ze szpitala wróciłem jak inny człowiek, nie sąsiad, którego wszyscy znali na wylot. Dziś wiem, że całe to dziwne zachowanie spowodował uraz, ale wtedy byłem nieświadomy. Nasza wspólnota jest jednak przygotowana na takie

niespodzianki. Dostałem wsparcie, to jest akceptację. Niezależnie od okoliczności czujemy się tu bezpiecznie.

COVID-19

Toon: Do tej pory nie mieliśmy zachorowania, mimo że żyjemy 30 kilometrów od pierwszego ogniska w kraju. Łatwiej być w tym razem. Mamy powietrze, mamy światło, mamy siebie. Śmiejemy się i płaczemy razem.

POCZĄTKI

Toon: Jesteśmy związani z LVGO, Narodowym Stowarzyszeniem na rzecz Współzamieszkiwania Seniorów. Za symboliczną opłatą, kilka euro rocznie, prowadzą doradztwo, z którego skorzystaliśmy — zaczęli masę co-housingów, ich doświadczenie jest bezcenne. Jeździliśmy do wspólnot, pytaliśmy o rozwiązania, szukaliśmy inspiracji. Do nas też przyjeżdżają powstające grupy. Chętnie chwalimy się naszą wspólnotą.

Na pierwsze spotkanie przyszło 25 osób. Z tych 25 zostało 7. Niektórzy bali się inwestować, inni przestraszyli się wspólnotowego życia. Chcieli przepychać swoje pomysły na kolor dachu i inne detale. Zrozumieli, że konsensus to ciężka praca. W co-housingu nie budujesz dla siebie, ale dla swoich sąsiadów, dla wspólnoty.

Zadecydowaliśmy, że nie rezygnujemy, nawet jeśli jest nas tylko 7 osób. Poświęciliśmy wszystko, sprzedaliśmy domy, mieszkaliśmy kątem u ludzi. Lokatorów szukaliśmy w trakcie budowy. Kiedy skończyliśmy, 3 mieszkania wciąż stały puste. Przez kilka miesięcy wspólnie płaciliśmy za te niesprzedane domy.

Kiedy ktoś pyta o radę, jak założyć wspólnotę, odpowiadam zawsze: albo tego nie rób, albo rób z całego serca. Przepraszam za łyzy. Budowanie wspólnoty wiąże się z masą wyrzeczeń. Razem walczyliśmy i czasem przegrywamy. Nasza społeczność się zestarzała. Trzy osoby zmarły, przyszli nowi ludzie. Wielu chciało z nami żyć, bo tak u nas pięknie. Chcą „kupić dom”, a ja twierdzę, że u nas kupujesz określony model życia, nie dom.

Kiedy zaczęliśmy, jeden z naszych członków był duchownym. Jego udział w projekcie stanowił lokalną „sensację”. Jedna z gazet napisała artykuł w stylu „Duchowny buduje komunę”. Ta łąka

komuny nam została. Ludzie z miasteczka byli przekonani, że ponieważ napisano, że mamy tylko jedną wannę, to kąpiemy się razem. Faktycznie wanna jest jedna, w pokoju gościnnym, ale każdy z nas, w swoim mieszkaniu ma łazienkę z prysznicem. Ja nigdy z tej wanny nie skorzystałem. Do komuny nam bardzo daleko. Lubię nas nazywać stowarzyszeniem sąsiedzkim. Nie jesteśmy jak małżeństwo, rodzina, firma, grupa religijna czy nawet przyjacielską. Jesteśmy sąsiadami z bonusem.

Aleksandra Zbroja